

Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (13)

(fragmenty)



Słowem, żeby funkcjonować dziś w obiegu jako poeta, trzeba być w miarę zamożnym człowiekiem. A co mają czynić poeci niezamożni? I tu dotykamy kolejnego paradoksu związanego z polityką kulturalną... albo też z jej brakiem... Corocznie rozpisanych jest w Polsce kilkaset konkursów na zestawy wierszy. Laureaci dostają nagrody i wyróżnienia. Honoraria otrzymują też jurorzy. Okazuje się, że pieniądze na to się znajdują, choć z konkursów niewiele wynika dla samych poetów i dla szerszego odbiorcy, bo najczęściej w imprezach finałowych biorą udział tylko organizatorzy kwitujący zaistnienie kolejnego konkursu, zwycięzcy oraz jurorzy. Żeby było śmieszniej, dodam, że wśród poetów wyodrębniła się grupka spryciarzy – zawodowców biorących udział w wielu konkursach. Wiersze konkursowe bywają często dobierane pod gusty jurorowi mają często charakter twórczości „na okoliczność”.

Tak zwani znani i uznani przez krytykę poeci średniego i starszego pokolenia, którzy chcą wydać swoje kolejne zbiory, nikogo nie obchodzą; duże wydawnictwa ich nie chcą, koncentrując się na prozie, publiczność powoli odzwyczajają się od czytania tomików, których w księgarniach i bibliotekach na lekarstwo; poeta zaczyna obracać się w próżni doskonalej...

Może należałoby uszczuplić budżet na konkursy na pojedyncze wiersze, a pieniądze oszczędzone z tego przeznaczyć na dotowanie najlepszych książek poetyckich zakwalifikowanych do druku w dużym, mającym dobrą dystrybucję wydawnictwie? Stworzyć komisję złożoną z wybitnych poetów i krytyków różnych pokoleń i opcji (powtarzam – różnych, żeby nie było „kolesiostwa”), którzy spośród nadesłanych maszynopisów wyłonią kilkanaście czy kilkadziesiąt najciekawszych, kwalifikując je do druku w jakiejś dajmy na to Narodowej Bibliotece czy Kolekcji Poetyckiej? Duże wydawnictwo, które otrzyma ministerialną dotację na wydanie książki, powinno zadbać o dobrą reklamę i rozprowadzanie.

Czy to, co piszę, jest tylko marzeniem świętej głowy? Dlaczego w kraju noblistów poetyckich, w kraju cenionych w świecie poetów i kilkudziesięciu salonów poetyckich Anny Dymnej (właśnie Dymna pokazała, ile jeden człowiek potrafi zrobić dla poezji, gdy tylko mu się „chce chcieć”) – żyjących autorów traktuje się na szczelbu rozpolitykowanych instytucji, wydawnictw i księgarni jako pariasów, a piękny nawyk czytania wierszy odsyła się beżmyślnie do lamusa?

...Po przeczytaniu powyższego naszła mnie refleksja, że i sami poeci po roku 1990 w pewnym stopniu są winni temu, że dali się zepchnąć do nisz, odwracając się plecami od zwykłych odbiorców. Tak skutecznie „podgryzali” korzenie tradycyjnego etosu poety, że w świadomości społecznej istniejemy dziś jako „eksperci” od spraw duperelnych.... Ale to temat do osobnego rozważenia...

Muza Zbigniewa Herberta

Spotkanie autorskie w Klubie „Strych” w Gdyni co prawda mało udane ze względu na „slamsowe” warunki, niemniej warto było odbyć pociągowy cross przez Polskę i znaleźć się na Wybrzeżu choćby po to, by zamoczyć palce w morzu i poznać smaki i uroki gościnności człowieka-orkiestry Krzysia Lesińskiego – byłego judoki, myśliwego, szefa firmy „Draco”, właściciela paru domów, bogatej kolekcji ikon, broni, obrazów, miłośnika kobiet, whisky i wspaniałych, różnobarwnych nalewek przynoszonych z piwnicy, a także obdarzonego talentem autora paru książek poetyckich. Tylu ludzi w jednym – to dziś zjawisko rzadkie, właściwie renesansowe! Dzięki niemu poznałem też panią M.M., właścicielkę galerii „Piękny Świat” w Gdańsku, która procesuje się z wdową po Zbigniewie Herbercie, gdyż wydała w 1990 roku wiersze i listy miłosne poety do pierwszej jego muzy. Kiedyś muza zakochała się w nim bez pamięci i rozwiodła z mężem, odchodząc od niego z córkami, poeta zaś po paru latach wyznał jej, że „zakochał się w innej, ale ją też będzie zawsze kochał”. Przez jakiś czas jeszcze – a chodzi tu o lata 50. – spotykali się sporadycznie i utrzymywali korespondencję, a potem muzie pozostały po ukochanym poecie tylko piękne, wzruszające, a niekiedy dramatyczne listy, przechowywane jak najdroższy skarb. Podała je do publikacji po jego śmierci i na krótko przed własnym zejściem z tego niezbyt życzliwego jej świata. Trochę się dziwił żonie poety, że tak jej zaley w wstrzymaniu dodruków książki. W końcu wyłania się z tych listów Herbert z ludzką twarzą i „jajami”, a nie tylko pomnikowy, nieugięty Pan Cogito, jak chcą go widzieć eunuchowaci krytycy i ideolodzy. Herbert mający swoje słabostki i grzechy, kochliwy, ba, piszący prawie jak Leśmian o „obcałowowaniu rączek i nóżek” – to obraz wart uwiecznienia. Pani Katarzyna miała poetę na własność i mogłaby – gdyby się wzniósł ponad zrozumiałą skądinąd zazdrość – zdobyć się na wielkoduszność wobec wcześniej-

szej muzy, która zapłaciła słono za romantyczne porywy.

Wydawczyni, pani M.M., czuje się dumna, iż uratowała listy, publikując je w książce, a ja mimowolnie ją w tym umacnam, przypominając, jaki los spotkał listy i dokumenty, które mogły „odbrzązować” obraz innego, romantycznego Wieszcza. Syn Mickiewicza, Władysław, zaraz po śmierci ojca dla „dobra Pamięci” ocenzurował je skutecznie, czyli po prostu zniszczył...

Cóż się nie robi dla (z) miłości! ? Dobrego i złego...

Ars Poetica

Irena Wyczółkowska, poetka, redaktorka opolskich „Stron”, gdzie publikuję „Listy z Krakowa”, przysłała mi recenzję z mojego „Tańca z Ziemią” wygłoszoną w Radiu Opole. Wyrywam z niej fragmenty dający znakomity wgląd nie tylko w moją kuchnię poetycką:

„Proces powstawania wiersza i na pewno wszystkich dzieł sztuki zawsze jest nieco tajemniczy i drwi sobie z wszelkich racjonalnych prób wyjaśniania, jak się to dzieje. Ale czytając wiersze Józefa Barana, wyobrażamy sobie, że mogłoby to wyglądać tak: uważna obserwacja dokonywana przez kogoś o czulej wrażliwości, moment olśnienia – jak nagle przebudzenie, jak chwila odzyskania świeżości widzenia rzeczy znanych, pospolitych – odkrycie związku między nami a otoczeniem i niemal mistyczne poczucie »całości istnienia«. No a potem nie lada harówka, aby ów widok szerszy od zwykłych doznań, to uogólnienie tego, co zazwyczaj bywa w życiu cząstkowe, wyraziście przekazać innym”.

Nie mogę się też oprzeć (o ludzka próżności!) przed zacytowaniem jeszcze jednego zdania: „Wiersze Barana przywracają poezji jej wysoki status Pięknej Niespodzianki, pochwały urody świata – i obrazu grozy i tragizmu istnienia”.

Z poglądami Ireny na temat kuchni poetyckiej korespondują słowa teoretyka zeń – Shunryu Suzuki. To, co mówi on o praktyce zeń, wydaje mi się adekwatne do tego, co myślę i ja – zgadzając się z Ireną – o sztuce poetyckiej:

„Mamy w Japonii wyrażenie »siosin« oznaczające »umysł początkującego«. Celem praktyki jest to, by zawsze utrzymywać umysł początkującego. Przypuśćmy, że tylko jeden raz śpiewacie sutrę Pradžnia Paramita. Możecie to robić bardzo dobrze. Lecz co się stanie, jeśli zaśpiewacie ją dwa, trzy, cztery lub więcej razy? Z łatwością możecie utracić wasze pierwotne ku niej nastawienie. To samo może się wam przydarzyć w innych praktykach zeń. Przez jakiś czas będziecie utrzymywać umysł początkującego. Jeśli jednak kontynuujecie praktykę przez rok, dwa, trzy lub więcej lat, to chociaż może się ona rozwinąć, będziecie narażeni na utratę, pierwotnego umysłu, który ma tak wielkie znaczenie.

cdn.